

Aslı Erdoğan

## *Miasto w czerwonej pelerynce*

### PODRÓŻNICZKA NA ULICACH RIO I

*„Najpiękniejsze miejsce świata” — mówią o swoim mieście mieszkańcy Rio. Jak jednogłośny chór: „Najpiękniejsze miejsce świata...”. Opinię tę znajdziemy w przewodnikach turystycznych i zaprawionych egzotyką filmach; wyrażana była przez dawnych odkrywców i turystów przybywających na karnawał w zorganizowanych grupach. Ja też się z nią zgadzam, bo choć nie wiem za dobrze, co oni wszyscy rozumieją przez ten „świat”, wydaje mi się, że widziałam go wystarczająco dużo.*

*Oto przed wami typowa, zwyczajna, zapierająca dech w piersiach fotografia Rio: mieniące się na srebrno długie plaże pozbawione cienia, przypominające labirynt brzegi Zatoki Guanabara wcinającej się w samo serce miasta... Góry szarpiące horyzont niczym wbite w powierzchnię ziemi szpilety, przyprawiające o zawroty głowy przepaści, potężne, nieokielznane i drapieżne skały... Góra Pão de Açúcar (Głowa Cukru) wyrzeźbiona z jednej bryły granitu – w niektóre dni przypomina mi kciuk, w inne nagrobną stelę. Od tysięcy lat chroniąca swoje tajemnice i mimo że tak bardzo przetrzebiona – wciąż dziewicza, rozpalona ogniem młodości dżungla... Miasto oświetlone typowym dla tropików ostrym światłem, spowite czerwonawą mgiełką spływającą ze zboczy gór i przemieniające się w krainę baśni...*

*Ja nie będę jednak wygłaszała pochwał na cześć opisanego niezliczoną ilość razy, niesamowitego piękna Rio. Z tym jego obliczem od dawna nie mam zresztą nic wspólnego. Poprzestanę jedynie na powiedzeniu, że właśnie ta fotografia jest najstarszym w mojej pamięci obrazem miasta i że po raz pierwszy zobaczyłam ją na marnie wydrukowanej, taniej*

*pocztówce. Jednym słowem byłam oczarowana. Największe wrażenie wywarły na mnie skały: rówieśniczki Ziemi, trwające niczym świadectwa zamierającego ruchu, popielate, brunatne, miedziane, fiołkowe, ceglaste skały... Gdybym była bardziej sentymentalna, spaliłabym tę pocztówkę w płomieniu świecy, a popiół rozsypałabym w dolinie Santa Teresa, skąd dobiegały dźwięki wystrzałów. Ale ja ją po prostu zgubiłam.*

*Teraz już nie jestem w stanie zrobić nic poza życzeniem wszystkim podróżnikom przybywającym do najpiękniejszego miejsca świata, by odbyli swoją podróż bez nieszczęść. Przypominam, że wszystkie przygody w Brazylii kończą się krwawo i że te dzikie ziemie od szesnastego wieku pokonują każdego wędrowca, awanturnika, poszukiwacza złota i szaleńca, który się na nie zapuści. Wybierającym się tam radzę, by ani na chwilę nie zapominali o rekordowych statystykach Rio w dziedzinie AIDS i zbrodni, by pod żadnym pozorem nie spacerowali samotnie, by nie nosili zegarków, złota, ani niczego, co złoto przypomina i by podjęli wszelkie racjonalne środki ostrożności, tak by krew miasta ich nie opryskała. Radzę też, by obejrzeni zachód słońca z Corcovado (wzgórza, na którym znajduje się ten słynny, olbrzymi pomnik Jezusa) – w tropikach to robiący wrażenie, ale szybko dobiegający końca spektakl – i by koniecznie skosztowali soku ze świeżych papai.*

*Jest też Rio dziennikarzy, międzynarodowych organizacji pomocowych, obrońców praw człowieka i stowarzyszeń „bez granic”. To miasto, w którym jedna trzecia ludności żyje na granicy głodu, miasto po kolana zamurzone w zbrodni, bogacące się handlem kokainą, bronią i tanimi ciałami metysów. Wszystkie jego sześćset wzgórz zostało zajęte przez favele, a po ulicach rozsiane są niczym zardzewiałe gwoździe setki tysięcy nieposiadających niczego bezdomnych. Przestrzeń masowych niesprawiedliwości, przypadkowych egzekucji, epidemii zapalenia opon mózgowych i AIDS; miasto katedry Candelária, w której ogrodzie rozstrzelano pewnego dnia dzieci ulicy; rozbójniczych gangów napadających z pistoletami maszynowymi na plaże; „justiceiros” (wymierzających sprawiedliwość!) nieznaną*

arytmetyki nawet na tyle, by zliczyć zabitych przez siebie ludzi... Wielkoduszne i naiwne organizacje o dobrych zamiarach, starające się ochronić (przed kim?) przepracowaną, niedożywioną i wyzyskaną do szpiku kości ludność... Rio zbywa je diabelskim mrugnięciem oka. Wie, że ich członkowie szybko dadzą za wygraną, że zapiszą jedną–dwie pozycje w swoich rachunkach sumienia, a potem wrócą cali w ukąszeniach komarów, wypełnieni pasożytami jelit oraz wspomnieniami błyskawicznych, wygodnych i higienicznych przygód do Pierwszego Świata – regularnego jak nakręcony zegar, nudnego i oszczędnego tak w cierpieniach, jak i w radościach. Z przyjemnością zaobserwuje też, jak ci wciąż niezaspokojeni znajdują ucieczkę od swojego znudzenia w Nikaragui albo u boku zapatystów. Zawsze nieuchwytnie, nieobliczalne, kokieteryjne, przebiegłe Rio!

Spektakularna fotografia Rio i jej negatyw to dwie maski, nic więcej. Zaledwie dwa z wielu przeróżnych strojów, jakie zakłada na siebie miasto od setek lat podtrzymujące tradycję karnawału. Natomiast Rio, o którym opowiem ja, to labirynt rozciągający się w więcej niż dwóch wymiarach, a raczej seria labiryntów przeplatających się zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, pełnych ślepych zaułków, punktów bez odwrotu, ukrytych komnat, przerażających odgłosów i ruchów, nieokreślonych przepowiedni...

Niedługo wyjdziecie na ulice Rio. Będzie to podróż zawsze o krok od nieustannego przerażenia; na twarzach stale czuć będziecie cuchnący oddech śmierci; na karku – ciemne, zwyrodniałe spojrzenie... Tak jakbyście nachyleni nad studnią nagle zdali sobie sprawę, że tak naprawdę to ona obserwuje was... Napotkacie ludzkie ciało, usadzone na żalonym tronie tyranii pożądania i ofiarowywane w darze. Niegasnący pożar, szaleństwo i niezrównane piękno ciała; lekkie, frywolne, niestałe życie i śmierć na każdym rogu...

To było dwa lata temu. Podczas obchodów jakiegoś święta, na przedmieściach zobaczyłam kobietę zawiniętą w szmaty, z nogami i pośladkami na wierzchu. (Zajęło mi parę minut, nim rozpoznałam jej pleć). Stała jak zbyt późno uratowana z obozu koncentracyjnego,

*jakby zapisane jej było umrzeć w ciągu kilku dni. Mogła mieć dwadzieścia lat, mogła mieć siedemdziesiąt. Nie miała większości zębów, jej łokcie przebiły skórę i wyszły na zewnątrz. Tańczyła sambę. Mdlejąc z rozkoszy, zanosząc się śmiechem... Jej twarz rozświetlona tą czystą, nieskazoną radością, którą można zobaczyć jedynie u dzieci... Właśnie kiedy spojrzycie w zmaczone, zamglone, bezdenne oczy kobiety będącej na skraju śmierci głodowej i napotkacie w nich szczęście, autentyczne szczęście, wtedy naprawdę zanurzycie się w labirynty Rio. Od tej pory za każdą rzecz, którą zobaczycie będziecie płacić własnym życiem. Tak jak czyniłam to ja.*

*A teraz konieczna wam – i mnie – odrobina odwagi. Być może tyle, ile potrzeba przed skokiem z łódki w ciemną wodę albo podczas gry w pokera, przed wyłożeniem kart. Nie zapomnijcie! Przed wami Rio de Janeiro. (Wiedzieliście, że jego nazwa oznacza „Stycziową Rzekę”?). To miasto nabrało takiej wprawy w grze w niekończące się zbiegi okoliczności, że sam diabeł staje się przy nim amatorem. Kiedy tylko przekona was, że blefuje, wyciąga na stół kareta asów.*

*Teraz zamknijcie powieki. Policzę do dziesięciu. Gdy skończę, będziecie w Rio. Niestety nie powiem wam, kiedy otworzyć oczy.*

## DZIEŃ SZTUCZNYCH OGNI

*Kim jesteś, wędrowcze?*

*Czego szukasz w dole?*

Tak mówił Zaratustra

*W końcu udało jej się przemienić w prawdziwego włóczęgę. Zagubiła się w południowoamerykańskim mieście znanym ze zbrodni popełnianych przez uliczne dzieci i karnawału. Przepadła, stając się jedną z milionów osób bez dachu nad głową, które rozproszone są na wszystkie strony tej planety; jedną ze straconych dusz zdanych na łaskę bezwzględnego przeznaczenia. Kochająca przygody dziewczyna z dobrego domu, ta drobna, krucha, wystraszona dziewczynka jest teraz czystej wody włóczęgą. Nie wierzy już w bajki, może sama chodzić po ciemnych ulicach, nie szczyli się policzkami, które jej wymierzono. Wyciągnięta na podłodze jakby była patroszona, w tym mieście nietroszczącym się o niczyje lzy, nie znajduje pocieszenia nawet w myśli o śmierci. Przekroczyła ocean, znalazła się po drugiej stronie równika, dotarła na ląd, o którym nie wiedziała nic. Spaliła wszystko, co zostawiła w tyle. Naprzeciw niej ukazał się brudny w każdym calu wszechświat. Nie miały tu zastosowania stare metody Starego Świata. Sądy wartościujące były teraz jak ciężka, niepraktyczna walizka, którą przywiozła z Turcji. Przetarta od spodu, z prawie urwaną rączką, zostawiona w tropikalnej wilgoci na zgnicie. Zapomniana aż do tego wciąż odwlekanego powrotu.*

*Ta dziewczynka rzucająca wyzwanie życiu wybrała „najbardziej niebezpieczne miasto świata” tylko dlatego, że chciała popatrzeć na ciemną stronę człowieka. Popatrzeć z bezpiecznego dystansu... Tymczasem w piekle, ku któremu się obróciła, jej włosy zajęły się*

*plamieniami. Rio de Janeiro wypuściło na nią przyprawiającą o zawroty głowy anarchię ciała. Jego rozżarzone do białości dni, jego noce pełne obietnic, grózb i pieszczot, jego zbrodnie... Teraz jej wola pozbawiona jest już siły, jej osobowość zwisa z niej w strzępach. Rozgromiona armia, która ucieka zostawiając swych rannych w tyle...*

Odgłosy wystrzałów rozpoczęły się nagle na nowo; Özgür podskoczyła ze strachu upuszczając na podłogę szklankę, którą trzymała w lewej ręce. Całe jej ciało, napięte, jakby przepuszczony był przez nie prąd, drżało. Z każdego poru na jej skórze tryskał pot, lecz jednocześnie zeszywniała z zimna. Jej oczy wypełniły się palącymi jak kwas łzami, które jakoś nie chciały płynąć. „Wystarczy już, wystarczy! Nie wytrzymam! Boże, zakończ wreszcie te męki! Czy nie widzisz, że brak mi już sił?”

Jej atak nerwowy trwał jakieś dwie–trzy minuty, potem wzięła się w garść. Wysłuchiwała monologu półautomatu ze skrupulatnością starszego sierżanta. Gdy zrozumiała, że odgłosy wystrzałów dobiegają nie z położonych na wzgórzu faveli – jak w Brazylii nazywa się getta – a z doliny tuż obok nich, postanowiła wejść do środka. Zobaczyła, że ani jedna szklanka się nie rozbiła, że ani jedna kropla herbaty nie wylała się na jej zeszyt, i ochłonęła. Uśmiechnęła się nawet, gdy dostrzegła, że przez cały atak spocone palce jej prawej ręki mocno zaciskały się na piórze.

Dwie wielkie favele na otwierającym się na dżunglę zboczach wzgórza Santa Teresa od ośmiu dni toczyły wojnę. Około sześciuset takich dzielnic, pokrywających nadzwyczajnie piękną twarz Rio śladami ospy, od czasów junty znajdowało się pod kontrolą jednej z najpotężniejszych organizacji Ameryki Łacińskiej, Comando Vermelho. W favelach nie było dnia bez starć; rywalizujące gangi walczyły o podział kokainy albo policja, niezadowolona z wysokości otrzymywanych łapówek, urządzała naloty pięćdziesięcioosobowymi oddziałami uzbrojonymi od stóp do głów.

Jednak najbardziej przerażająca wojna, jaką Özgür widziała podczas swoich dwóch lat w Rio, wybuchła na Santa Teresa. Od minionej soboty hałas karabinów, pistoletów automatycznych i granatów rozpoczynał się wraz z pierwszymi światłami poranka i trwał z przerwami przez cały dzień. Dwie noce wcześniej idąc po słynnej ze swych barów Santa Teresa, której ulice, nieoświetlone już światłem latarni, spowite były teraz śmiertelną ciszą, Özgür widziała jak pół tuzina po brzegi wypełnionych żołnierzami autobusów, z których okien wystawały długie lufy, po cichu wjeżdża ulicą pod górę z wyłączonymi reflektorami. Walki nie zakończyły się wraz z wkroczeniem wojska, przeciwnie – rozpętały się na dobre.

Jeszcze wczoraj widziała odgłosy wystrzałów jedynie jako kolejne źródło hałasu w nieustającym zgiełku Rio, kolejną przeszkodę uniemożliwiającą jej skupienie uwagi na swojej powieści – albo tylko wydawało jej się, że tak je widzi. Aż nie rozpoczęły się jej ataki nerwowe...

*Starala się ustalić, jak dokładnie rozpoczął się ten nieodwracalny proces. Jeśli wyrysuje jego granice i wyznaczy odpowiednie kryteria, być może przynajmniej będzie w stanie umieścić go pod kontrolą rozumu. Jeśli miałyby wybrać punkt zerowy, zdecydowałyby się na dzień, w którym spotkała na Copacabanie metyskę. Ostatni dzień Wielkanocy, kiedy wszystkie zegary w Rio stanęły, upał ni stąd, ni zowąd podskoczył do ponad czterdziestu stopni, a miasto drżało jak chore na malarię...*

Była niedziela. Zwyczajna niedziela... Jeszcze jeden dzień, tak jak poprzednie mijający w nieprzyjemnej pustce, niezawierający w sobie żadnej nadziei, żadnych oczekiwań, żadnego sensu... Dzień Sztucznych Ognia...

Mimo że był pierwszy tydzień grudnia, straszliwe upały Rio de Janeiro zalały miasto jak nabrzmiewający falami ocean. Od tej pory temperatura miała przez całe tygodnie,

miesiące nie spadać poniżej czterdziestu stopni. Uliczne termometry rozrzucone po całym mieście miały zdawać się jakby wyjęte spod pachy chorego na żółtą febrę: 42, 41,5, 43, 43,6, 42,4... W czasie miesięcy zwanych „porą suchą” w Rio, odgrodzonym od oceanicznych wiatrów poszarpanymi zatoczkami i pionowymi górami, nie poruszał się ani jeden listek, jasne niebo w kolorze indygo nie plamiło się ani jedną chmurką. Upał spadał na człowieka jak obłęd, owijał się wokół jego gardła i nie pozwalał mu oddychać. Miasto przemieniało się w ogromny piec, w którym ludzie powoli smażyli się żywcem. Słońce ściągało noszoną przez cały rok maskę szczodrej królowej i zachowywało się jak dyktator ogarnięty żądzą mordy. Powietrze wciągało całą wilgoć, jaką tylko mogło, i gęstniało, aż dochodziło do konsystencji wody. Słynna wilgoć tropików...

Teraz żebrzące dzieci ulicy zamiast o „salgadinho” – pasztecik – błagały o colę. Od teraz miały umierać na czerwonkę, cholere, albo po prostu z odwodnienia. Wszystkie źródła i fontanny w mieście wysychały; ciała bezdomnych zaczynały śmierdzieć jeszcze bardziej. Jako że toalety urządzone na wolnym powietrzu, na zamieszkiwanych przez nich chodnikach, nie były oczyszczane przez deszcze, ulice zasnuwały się smrodem odchodów, moczu i gnicia. Sprzedawcy usuwali z lad cukierki nazywane „bombom”, nerkowce w czekoladzie, bananową marmoladę i wykładali zimne napoje i świeżą wodę kokosową. „Gelada, gelada...” (Lodowata, lodowata...). Ludność miasta traciła siły, spowalniały kroki, rozmowy, a nawet oddechy; życie jak zaczynająca wysychać rzeka płynęło z trudem, w ślimaczym tempie. Rozmowy na stojąco w windach, poczekalniach, autobusach zawsze zaczynały się tym samym zdaniem: Que color! (Jak gorąco!). Na plakatach reklamowych pokrywających całe Rio skandynawsko wyglądające dziewczyny stały po kolana w śniegu, rozsiewając iskrzące się blond uśmiechy. Tak jak Beduini pragną zieleni, tak w sercach mieszkańców Rio żyje tęsknota za śniegiem.



W pierwszą niedzielę grudnia mieszkańcy miasta zapełnili plaże lub znaleźli schronienie w górskich wsiach. Czas spowolnił do tego stopnia, że niemal się zatrzymał. Godziny, jak krople potu, odrywały się powoli i kapały. W pogrążonej w głębokiej sjeście dolinie Santa Teresa gangi prowadziły swą bezwzględną walkę.

Mieszkanie Özgür składało się z długiego i wąskiego jak łódka salonu, kuchni, którą nazwała trumną oraz łazienki pełnej pijawek, których nie potrafiła usunąć, bo zawsze zbierało jej się na wymioty. Było jednym z sześciu jednopokojowych lokali w wyposażonym w kolumnadę mlecznobiałym domu noszącym patetyczną nazwę „Biała Willa”. Zbocze od strony doliny Santa Teresa było na tyle strome, że podczas gdy balkon od frontu znajdował się przynajmniej trzy metry nad ziemią, okna umieszczone z tyłu stykały się z gruntem, tak że wychodziły na dżunglę pełną dzikich traw i kolczastych zarośli. Przez okna, które z powodu upału dzień i noc musiała mieć otwarte, do środka przedostawały się mięsożerne mrówki, jaszczurki, koniki polne, skrzydlate karaczany wielkości dłoni, a czasem nawet dzikie koty o oczach pociemniałych z głodu. Sama pewnego razu wyskoczyła na zewnątrz i próbowała wejść w dżunglę, ale zanim postawiła drugi krok, jej ręce i twarz pokryły skaleczenia. Choć wiedziała, że przez te zarośla nie przedostanie się zwierzę większe od kota, hałasy dochodzące nocą z ogrodu wprawiały ją w przerażenie. Nie stać jej było na wentylator. Właściciel domu, nadzwyczajny skąpiec i oszust, profesor Botelho, mimo że obrzydliwie bogaty, odmawiał wynajmującym od niego mieszkania klimatyzacji, tak istotnej tutaj jak kaloryfer w Sztokholmie. Był głównym konsultantem prawicowego burmistrza; chełpił się swoją karierą akademicką i czystymi europejskimi korzeniami; cały swój wysiłek kierował na nadanie sobie szlachetnego i elitarnego wyglądu, który odpowiadałby chwale jego przodków. Miał poza tym obsesję na punkcie czystości; wielbił zasady, porządek, formę. Ogród od strony drogi przystroił greckimi bogami z gładkiego marmuru, lampami zalatującymi Paryżem, wytwornymi schodami, które jakby ześlizgiwały się w dół spomiędzy bananowców

i mangowców. Wystrój mieszkań w willi był natomiast innego rodzaju manifestacją jego połączanej osobowości. W salonie Özgür stłoczone zostały wielkie, brzydkie, twarde jak beton łóżko, aluminiowe regały i jakieś wykonane ze sztucznej skóry skrzyżowanie fotela i kanapy, sprawiające wrażenie jakby wyniesiono je z budynku rady miejskiej; na środku pomiędzy tymi gratami ustawiony był ciężki, pretensjonalny stół z mahoniu i osiem krzeseł zajmujących przesadnie dużo miejsca. Poza tym na balkonie rozpięty został jeszcze jeden nieodzowny element wszystkich domów w Rio – hamak; a muszle zawieszane na nitkach przy drzwiach dzwoniły przy najłżejszym powiewie. (Według brazylijskiego wierzenia o korzeniach afrykańskich muszle przynoszą szczęście). Na szarych ścianach, budzących niesmaczne skojarzenia ze szpitalnymi czy sądowymi korytarzami, zawisł czarno-biały plakat, który profesor Botelho kupił w New York Metropolitan, a następnie starannie oprawił. Zbliżenie na całującą się parę, rozwarte usta, jakby nieco tłuste... Matowy, zamglony, niemal oficjalny erotyzm zdjęcia odczytywała swojego czasu jako przestrożę. Szczególnie w te noce, kiedy pod wysokim ciśnieniem duszącej atmosfery domu odczuwała swoją samotność jako niezależny od niej samej byt – ciężki jak rtęć, pieniaący się i rosnący, wymykający się spod kontroli, zbliżający do punktu wybuchu – szczególnie wtedy chciała przycisnąć swoje wargi do ust noszącego krawat mężczyzny z fotografii. Nawet nie po to, by go pocałować, ale raczej jak głodne pisklę, wyciągające się w stronę dziobu swojej mamy.